DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE

Rok I. | Berlin, niedziela, dnia 16 października 1921 r. | Nr. 2.

Pieśń bez echa.

Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr, co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi,
W ciemną mroczną dal...
Tylko mi cię żal,
Ty ziemio,

Gdzie kurhany ci he drzemią,
Gdzie się w stepach bielą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żałości,
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do Dunaju, do swobody,
Do szumiących fal...
Tylko mi cię żal
Ty chato,

Pod tą lipą rosochatą,
Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosy —
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w Ukrainę,
Za to morze, za to sine,
Poszłabym ja na stracenie
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal,
Tylko mi cię żal,
Sokole,

Co nad nasze lata z pole,
Ponad pole, ponad niwę,
Latasz, gubisz piórka siwe —
Tylko mi cię żal!

Marja Konopnicka.

Pieśniarka ludu Marja Konopnicka.

Cały lud polski powinien znać utwory Marji Konopnickiej. Największa ta nasza poetka nietylko, że genjalnymi zdolnościami dorównuje najsławniejszym wieszczom, ale gorącej miłości ojczyzny, ludu polskiego, wsi polskiej dała tak silny wyraz w swoich utworach, jak nikt przed nią.

„Ona boleje, śpiewa i mówi za poddasza miejskie i za chaty wieśniacze, ale głównie i szczególnie za wieś polską, z którą się zrosła i która ją sobie na chwałę wykołysała. W jej poezji tkwi dusza chłopa i bije serce chłopskie i słychać w niej dzwony wiejskie, i kołatki trzód, i brzęk kos i sierpów, i rodzinną nutę śpiewów wiejskich."

Konopnicka z ogromną śmiałością porusza w swoich utworach najgłębsze i najbardziej bolesne zagadnienia społeczne i narodowe. Pamiętać trzeba, że żyła Ona i tworzyła za czasów niewoli. Wszyscy wydziedziczeni, a więc starcy, wdowy i sieroty, którym głodno, chłodno, pusto i źle na świecie, wszyscy, którzy jęczą pod przemocą praw naturalnych i społecznych, pod pogardą i niemiłosierdziem możnych, gdyby mogli i umieli wypowiadać w pieśni swą niedolę i swoje bóle, wypowiadaliby je Jej słowami. Ona jest ich skargą wobec nieba i orędowniczką wobec sytych."

Odczuwając gorąco krzywdy wyzyskiwanych i biednych zapytuje poetka z goryczą:

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżna jako oceany,
A taka straszna jak roztwarte rany!"

Wszak wszyscy jesteśmy dziećmi jednej ojczyzny, a więc braćmi, czemuż więc jedni z nas są wyzyskiwani, a inni krzywdzicielami, wyzyskiwaczami.

Dla Niej zbyt wolno posuwa się postęp i oświata, więc woła:

„O spiesz się słońce! Zbyt wschodzisz powoli
Nad przepaściami głębokich niedoli!
O spiesz się słońce! Niech dzień nowy wstanie!
Wszak tylko słońce zwycięża otchłanie."

Ból matki, której chore dziecko „W piwniczej izbie" dogorywając wypytuje, jak to jest na wsi, której nigdy nie widziało, jak tam dzieci się bawią, jakie są kwiaty i zwierzęta, nasuwa poetce gorzkie pytanie: „Któż dziecku temu da trochę słońca, pokaże lasy i pola?" — Mogliby to zrobić ci, dla których trochę strawy i kąt w domu dla biednego dziecka miejskiego nie stanowiłby wielkiego uszczerbku. Czemuż nie zrobią tego?

Poetka ogarniając uczuciem macierzyńskiem dzieci całej Polski, współczuje gorąco z rozpaczliwą bezradnością ojca-wyrobnika, który, zostawiwszy piłę i siekierę, za ostatni grosz sprowadził do chorego dziecka lekarza, a ten kazał dziecko dobrze karmić, dać mu ciepłe i suche mieszkanie, a nieszczęśliwy ojciec

Noc całą dziecko zagrzewał oddechem
Modlił się, płakał,
O ściany tłukł głową",

lecz nie mógł nic dziecku poradzić. I znowu wyrzut zwrócony do społeczeństwa całego:

„Ten szereg drobnych grobów wśród cmentarza,
Co myśliciela smętnego przeraża,
To siew bez plonu rzucony na marne,
Kwiat bez owocu i stracone ziarno."

Najwspanialszym utworem Konopnickiej jest „Pan Balcer w Brazylji“, opowieść poetyka, opisująca przejścia i nieszczęsne losy emigrantów naszych w Ameryce. Jak jadą na statku z najrozmaitszych stron obcy sobie Kujawiacy, Mazurzy, Kurpie z nad Buga i od Krakowa, lecz rodacy, połączeni wspólną miłością ojczyzny i wspólną troską o jutro, lecz jeszcze pełni nadziei w przyszłość. Potem ich rozczarowania, choroby, głód i biedę. Jak wyzyskując nieznajomoćć języka i stosunków dają im najgorsze ziemie do uprawy. Jak dzieci i słabsze kobiety giną i marnieją w tych trudach. Wreszcie praca przy karczowaniu lasów wśród walk z dzikim zwierzem w puszczach. I powrót przez pustynie i góry, wędrówka, po której i połowy nie stało.

Okropne położenie małorolnego chłopa najjaskrawiej przedstawiła Konopnicka w „Wolnym najmicie“. Rok był nieurodzajny, ziemia wydała słomę i plewy, za chatę zaległy podatki, więc poszedł w świat po robotę. Pańszczyzny już niema, więc jest „wolny“. Wolny, bo mu wolno iść dokąd chce, wolno umrzeć i nikt się o to nie zatroszczy.

„I nigdy wyraz nie był dalszym treści
I w zestawieniu takiem urągliwem
Nigdy nie było tak głuche, boleści
W jestestwie żywem.“

Kobiecie cele jej wskazuje Konopnicka w pięknym wierszu „Do kobiety“: Gdy dziewczyna mówi narzeczonemu słowo kocham, powinna pomyśleć chwilę co znaczy to słowo, a więc

Chcę z tobą
Podźwignąć ciężar co się życiem zowie,
Być domu twego światłem i ozdobą,
I nieść ci pokój i ciszę i zdrowie,
Kocham, to znaczy: twoje ideały
I twoje cele są także mojemi
Pracujmy razem, by rozświt dnia biały
Prędzej rozbłysnął na ziemi!“

Los dziecka bezdomnego, które w noc zimową zasnęło i zmarło na progu kościoła zamkniętego „razem z litością i Bogiem“ wyrywa z serca poetki westchnienie:

„Ach! Gdyby Chrystus tu przebywał z nami
Wiem, żeby chodził ciemnemi nocami
I zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy
I tulił u swych ołtarzy.“

W wielu jednak innych utworach Konopnickiej, mimo tego smutku i goryczy na widok zła i nieszczęść ludzkich, przebija się głęboka wiara w lepszą jasną przyszłość narodu, wiara, że lud ten naród wybawi.

„Wyroczny klucz żywota
W narodów ręku leży,
Sam lud otwiera wrota,
Sam lud zamyka dźwierzy.“

Jak Hallerczyk modlił się kartami w kościele.

Pewien Hallerczyk w czasie gdy kompanja, do której należał, słuchała Mszy św. w kościele — usiadł sobie na ławce, rozłożył talję kart i zaczął przekładać jedną przez drugą. Zauważył to stojący obok sierżant i kazał mu zaprzestać gry w karty w kościele, lecz żołnierz grał dalej.

Po skończonem nabożeństwie sierżant przedstawił owego żołnierza do raportu karnego przed kapitana za profanację kościoła.

Gdy ów żołnierz stanął przed kapitanem, ten zapytał się, dlaczego zachowywał się tak nieprzyzwoicie podczas nabożeństwa, grając w karty w kościele.

— Panie kapitanie — powiada ów żołnierz — jestem analfabetą i nie umiem czytać, więc muszę używać kart zamiast książki, ażeby się modlić z nich.

— Jakże to można modlić się z kart? — pyta się zdziwiony kapitan.

— Niech pan kapitan raczy posłuchać: Otóż, jak wiadomo panu kapitanowi, talja kart składa się z pięćdziesięciu dwóch kart, co oznacza 52 tygodnie w roku. Trzystapięćdziesiąt óczek w kartach oznacza tyle dni w roku. Dwanaście figur w talji oznacza dwanaście miesięcy; cztery kolory w kartach oznaczają cztery pory roku: zima, wiosna, lato i jesień. Jedynka w kartach oznacza, że jest jeden Bóg, który stworzył niebo i ziemię. Dwójka, że Jezus ma dwie natury: boską i ludzką. Trójka, że jest jeden Bóg w trzech osobach: Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch św. Czwórka, że są cztery ewangelje: Marka, Łukasza, Mateusza i Jana. Piątka oznacza pięć ran Jezusa. Szósta, że Bóg stworzył świat w sześciu dniach. Siódemka, że siódmego dnia Bóg odpoczął. Ósemka oznacza ośm osób w Arce Noego podczas potopu. Dziewiątka oznacza dziewięć chórów anielskich. Dziesiątka oznacza dziesięć przykazań, danych Mojżeszowi na górze Synai. Trzy walety są to trzej kaci, którzy Jezusa do krzyża przybijali, czwarty żołędny walet, tego na bok odrzucam, bo to fałszywy zdrajca. Trzy damy oznaczają trzy niewiasty, które szły do grobu Jezusa, aby Go wonnemi olejkami namaścić, zaś czwarta, czerwienna dama, to Najśw. Matka Jezusa. Trzej królowie oznaczają trzech mędrców, którzy przyszli czwartemu królowi, Jezusowi oddać hołd. As oznacza, że jest jeden kościół powszechny. Cztery asy razem oznaczają cztery rzeczy, czekające człowieka: śmierć, sąd, niebo i piekło. Skończyłem, panie kapitanie — rzecze żołnierz.

— Dobrze — rzecze kapitan, ale wytłomacz mi, co oznacza ten walet żołędny, którego odrzuciłeś.

— Powiedziałbym to panu kapitanowi, ale pod warunkiem, że nie będę za to karany.

Kapitan mu to przyrzekł.

— Otóż walet żołędny jest to fałszywy Judasz, czyli ten sierżant, który mię przed panem kapitanem oskarżył.

Kapitan się roześmiał, poklepał żołnierza po ramieniu i mówi:

— Dobrze się tłomaczyłeś, kary ci nie zadam, a w nagrodę masz tu — sięgając do kieszeni wydobył z niej stumarkówkę i wręczając ją żołnierzowi, rzekł:
— Idź i napij się za to piwa!

Dzwonnik.

Bardzo był stary, ale w oczach jego była młodość, bo żyła w nich nadzieja.

Do obcego, olbrzymiego miasta przyjechał z wnuczką swoją, w roku, w którym wrogowie wolności po raz ostatni nadzieje sprawiedliwego świtu w morzu młodej krwi zatopili.

W dalekiej swej ojczyźnie zostawił jeno drogie sobie groby: córkę jego zabił ten sam strzał, który na cytadeli zabił jej męża — wnuk jego padł na polu walki.

W ogromnej kamienicy, gdzie zamieszkał, nazywano staruszka „dzwonnikiem“, miał bowiem pasję zbierania dzwonków, które choć niewielkie były, nazywał szumnie „dzwonami“. Przeszło pięćdziesiąt miał ich już, a jeszcze mu nie było dość: z małych swoich oszczędności skupował wciąż stare dzwonki i nowe — za każdy darowany dzwonek był wdzięczny szczerze.

Każdemu z tych swoich dzwonków dawał staruszek zaszczytne w jego Ojczyźnie nazwisko. Dzwonek, który miał głos tak dziwnie smutny, jakby się skarżył stary

las, że w nim nigdy słońce nie świeci — nazwał Chopin'em. (Muzyk polski) Jeden z jego „dzwonów" (kupił go gdzieś w sklepie z starożytnościami) nie miał — „serca", długo się wahał, jak ten „dzwon" bez „serca" nazywać: „Moje ja".

O tych swoich dzwonkach pisał staruszek pilnie wielkie dzieło; miało mieć tytuł: „O dzwonach nadziei", a mawiał, że ta jego praca nie będzie gorszą niż naprzykład „De Tintinnabulis" Magiusa, lub „De campanis commentarius" Rocci.

W mansardzie swojej poustawiał staruszek kunsztownie małe rusztowania, naśladujące dzwonnice i na nich pozawieszał swoje wielkie „dzwony". Do każdego dzwonka poprzywiązywał białe i amarantowe wstążki — zwieszały się one z „dzwonniczek" jak liny. W rocznicę „3-go maja" otaczał kwiatami swoje „dzwony", w „rocznicę Styczniową" okrywał je kirem.

— ...Dajesz mi wnuciu słodka „dzwon" na imieniny, najmilszy dar, najmilszy...

— To tylko dzwoneczek niestety..ś.

— O nie! to „dzwon" powiedziałem; zresztą najmniejszy dzwonek może mieć w wielkiej chwili głos tytana między dzwonami! Tak jest! może mieć! Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Ty się śmiejesz może z starucha dziada, że dzwony swoje kocha?

— Nie — bo dziadzia kocham.

— Te moje dzwony zadzwonią same, może już jutro, może nawet dziś! na wielką radosną nowinę...

— Zadzwonią? same?

— Tak! same! rozhuśtają się aż pod niebo!... nie wierzysz?

— Ja dziadzia bardzo kocham...

. . . .

Rozszalała się nad światem apokaliptyczna wojna: miljony, uzbrojone od stóp do głów, stanęły przeciw sobie, a za nimi przykuci mędrcy z retortami i morderczemi maszynami. Śmierć wyzierała z głębi ziemi i z chmur rzucała swe duszące sieci.

— ...Dziadziu już trzeba przecie iść spać, — bardzo późno, już szarzeje...

— Nie mogę, wnuciu, jeszcze nie mogę... czekam...

— Na co?

— Dzwony nasze mogą zadzwonić każdej chwili...! wielkie Święto się zbliża: zwycięstwo! zmartwychwstanie! życie!

— Późno bardzo: ja bardzo proszę iść spać...

— Nie mogę, wnuciu, nie mogę: każdej chwili dzwony mogą zacząć grać!...

...Mijały dnie i noce okrutnego zmagania się narodów i okrutnego oczekiwania. Stary „dzwonnik" nad mapami długie godziny spędzał, czatował na nowe dzienniki, słuchał ludzi, którzy mu mówili plotki i słuchał swego serca, które mu mówiło — nadzieje.

— ...Wnuciu! kup kwiaty... już najwyższy czas „dzwonnicę" ustroić...: „dzwony" każdej chwili mogą zacząć dzwonić...

— Kupię, dziadziu, kupię, jeśli dziadzio mi przyobieca, że dziś wcześniej pójdzie spać — dziadzio taki bledziutki, jeszcze zachoruje...

— O! nie, nic mi nie będzie... doczekam aż zadzwonią...

...Z ulicy wypadły w okno okrzyki: „nadzwyczajny dodatek!" „20 000 jeńców!" „100 armat zdobytych!"

— Jeszcze niema wielkiej nowiny, bo moje dzwony milczą...

...Mijały dnie i noce. Śmierć mówiła:

„Zmęczona jestem — mierzi mnie to zabijanie bez wytchnienia — nie mam nawet czasu patrzeć umierającym w oczy, a lubię widzieć ich męki i strach."

...Niech dziadzio się uspokoi, a mówiłam, trzeba iść spać... dziadzio cały i skronie takie gorące...

— Nie mogę, wnuciu, nie mogę...

— Ja bardzo proszę, już tak późno...

— Cicho wnuciu, cicho! to tej nocy musi się stać...

— Dziadzio nie dobry, nie słucha...

— Muszę być przecie na posterunku! cóżbym był za „dzwonnik", gdybym w tak ważnej chwili nie czuwał...

— Dziadziuniu, proszę się uspokoić, proszę iść spać...

— Pst! słyszysz?

— Co? dziadziu?

— Pobudka gra... rozstrzygający szturm się zaczyna... Patrz! widzisz, tam! ku kolczastym drutom przybiegli: pierwsze szeregi wbijają w druty ręce! Za zaporą baterja elektryczna łyska... nie mogą rąk odjąć od drutów... Widzisz? tyle krwawych rąk przebitych kolcami... Białe palce reflektorów wskazują na nich, maszynowe karabiny trzaskają przy drutach, jak tarcze...

— Ach! dziadziu, dziadziu!

— Drugi szereg sunie i odsuwa martwe tarcze... Padł szereg jeden i drugi i trzeci w „wilczy rów" i syczą: pale ostre przebiły im piersi — ostrza skrwawione z ich ciał sterczą i czychają na nowe ofiary... Ale inni prą naprzód, naprzód: złączyli się z wrogiem w jedno ciało — palce wbijają się w oczy, zęby w szyje.... Ach! jaki huk, jaki huk! Strugi ognia buchają z nieba: jeden młody chłopak cały w płomieniach... pół plutonu w płomieniach — żywe pochodnie! Widzisz ich oczy, zalęknione, cudne, słoneczne oczy? — oni umierając, widzą zwycięstwo!... Po przez okrutne pogorzelisko wyrastają nowe szeregi, jakby skała się toczyła — wróg się cofa — pierwsza pozycja zajęta!

— Dziadziu, dziadziu!....

— Znów pobudka brzmi: pędzą, znów pędzą!.... Ach! las na nich się wali, przepaść pod nimi się roztwiera, spadająca ziemia, jak fale, chwyta młode ciała, zasypuje je, dusi, zalewa usta.... Ale po świeżym grobie inni bez lęku idą: przez ból do szczęścia, przez śmierć do życia! — druga pozycja zajęta!...

— Co to? co to? widzisz? Śmierć postać swoją zmieniła: wstąpiła w chmurę bladego dymu — kogo ta chmura swym płaszczem otoczy, ten niema czasu myśleć, że umiera. Padli bohaterzy, całe szeregi padły.... Znów nowe oddziały idą, znów! — święta ludzka wola łamie wszystkie zapory! Święta miłość do ziemi ojczystej nie zna przeciwieństw!....

— ...Pst, pst... uklęknij: westchnienie do nas leci. Nasza Ojczyzna westchnęła, westchnienie ulgi....... Słyszysz? nasze dzwony dzwonią, coraz głośniej i głośniej: cały dom od ich grania drży, całe miasto, cały kraj! Radujmy się, one dzwonią na zwycięstwo! — słyszysz, jak one dzwonią?

— Nie! dziadziu, nie słyszę....

— Nie słyszysz?... to niemożebne! grają, że aż dech zapiera....

— One milczą....

— Co ty mówisz? milczą? nie, nie! tylko słuchaj uważnie; jabym umarł, musiał umrzeć, gdyby one nie dzwoniły! to byłoby straszne, okrutne, gdybyś ty ich nie słyszała?.... No, nie płacz, nie płacz! przytul główkę do serca dziadzia, słyszysz, jak one dzwonią? no, powiedz, czy one dzwonią?

— ...One dzwonią...

Ignacy Nikorowicz.

Trzeba iść naprzód zawsze.

Trzeba iść naprzód zawsze, choć ciernie
Pokrwawią nogi na ścieżkach życia,
A przy sztandarze wytrwać trza wiernie
Wśród gromów bicia.

Błyskawicowe ognie nie straszą
Tych, których piersi płomień ogarnie,
Płomieni świętych w duszy nie zgaszą
Nie zginą marnie.

Tylko ku gwiazdom oczy wznieść trzeba
Krokiem żelaznym idąc po ziemi,
I trzeba ziemię skuć, jak strop nieba.
Myśli złotemi.

I trzeba w serce wziąć mannę Bożą,
Miłości bliźnych, kraju i Boga,
Wtedy się jedne wrota otworzą
I jedna droga.

A brat przy bracie, ojciec przy synu
Stać będą duchem jedni i ciałem,
I razem pójdą w dal, drogą czynu,
Za ideałem.

Dzieje Łodzi i jej przemysłu.

Rozwój Łodzi, największego dziś centrum przemysłowego Rzeczypospolitej Polskiej, rozpoczął się względnie późno, odbywał się jednak następnie w tempie iście amerykańskim. Niewielu naszych rodaków poza granicami kraju żyjących, wie zapewne o tem, że kiedy w czasie drugiego rozbioru Warszawa, Lwów i Kraków były wielkimi miastami, miasteczko Łódź liczyło zaledwie 190 mieszkańców, gnieżdżących się w 44 domach, a przemysł łódzki reprezentowali wówczas 2 garbarze, 1 ślusarz, 1 krawiec, 1 szewc, 8 kołodziejów i 1 stolarz. („Księgi Wieczyste Obywatelstwa Łódzkiego Miasteczka Łodzi".)

W 1820 roku liczyła Łódz 799 dusz Na skutek zabiegów rządu ówczesnego Królestwa Kongresowego, dążącego do uprzemysłowienia kraju, rozpoczęła się jednak w tym czasie imigracja rzemieślników, głównie tkaczy ze Śląska, Saksonji i Czech. Łódź posiadała idealne warunki na osadę fabryczną, gdyż, położona wśród ogromnych lasów, miała poddostatkiem budulca i paliwa. To też w 1824 roku powstała w Łodzi pierwsza przędzalnia bawełny i mieszkało tu już przeszło 50 majstrów tkackich.

Zewsząd poczęły ściągać do Łodzi rzesze ludu polskiego, z bliska i z daleka — czasem, lecz rzadko zjawiał się i inteligent polski, wreszcie napłynęli do Łodzi żydzi. (Jeszcze w roku 1843, Baliński i Lipiński w swej „Starożytnej Polsce" określają Łódź jako miasto „od samych chrześcijan zamieszkałe".) Nikt jednak nie przewidywał przyszłego rozwoju nieznanego wówczas miasteczka. Tymczasem w 1837 roku liczyła Łódź już przeszło 10 tysięcy, w 1840 zaś była wielkim miastem fabrycznym o 20 tysiącach mieszkańców.

Jednakowoż Łódź posiada wówczas zawsze jeszcze znaczenie lokalne, nie leżąc w pobliżu żadnej kolei żelaznej. Dopiero w latach 1845—1848 zbudowano tak zwaną Warszawsko-Wiedeńską drogę żelazną, przechodzącą jednak (przez Koluszki) w odległości 26 kilometrów od Łodzi.

Epokę w rozwoju przemysłu łódzkiego stanowi rok 1854, w którym przybył do Łodzi wielki przemysłowiec Karol Scheibler i położył fundamenta pod nowy rodzaj przemysłu. Przeprowadził on mianowicie zmianę fabrykacji ręcznej na mechaniczną, co nie obyło się naturalnie bez silnej opozycji ze strony ręcznie pracujących robotników i majstrów tkackich. — Wreszcie przezwyciężył Scheibler wszelkie trudności i założył pierwszą w Łodzi parową fabrykę wyrobów włókienniczych. Łódź liczyła przeszło 40 tysięcy mieszkańców, z których blisko 30 tysięcy żyło wyłącznie z przemysłu i rękodzieł, przedewszystkiem z tkactwa.

W 1867 roku połączono Łódź z Koluszkami tzw. koleją Fabryczną i od tego czasu datuje się niesłychany jak na europejskie stosunki, rozwój miasta. W 1872 roku liczy Łódź 80 000 mieszkańców, w roku 1878 — 100 000, w roku 1883 — 150 000, w roku 1897 wykazuje ogólno-rosyjski spis ludności 316 209 mieszkańców Łodzi, w roku 1904 liczy miasto 400 000 mieszkańców, a w roku 1911 (według spisu policmajstra Riazanowa) wynosiła ilość mieszkańców Łodzi 521 610. Wedle przypuszczalnych obliczeń wzrosła ta liczba do połowy 1914 roku, czyli bezpośrednio przed wybuchem wojny, do 600 000 mieszkańców.

W parze ze wzrostem ludności szedł i rozwój przemysłu łódzkiego. W roku 1853 pracowały w Łodzi 23 fabryki o 196 warsztatach tkackich, w 1893 wynosiła liczba fabryk 134, warsztatów 6748. W 1840 roku wynosiła wartość wytwórczości bawełnianej 1 miljon, a w 1908 blisko 60 miljonów rubli, ogólna zaś wartość produkcji łódzkiej wynosiła w 1895 roku 90 miljonów rubli, w 1910 zaś 196,9 miljonów rubli.

W 1911 roku w 591 przedsiębiorstwach przemysłu włóknistego (154 przędzalni, 215 tkalni i 222 przedsiębiorstw mieszanych (tkalni i przędzalni) funkcjonowało przeszło półtora miljona wrzecion i blisko 50 000 krosien, obsługiwanych przez 86 442 robotników. Ogółem w 1911 roku prosperowały w Łodzi 752 przedsiębiorstwa przemysłowe. — Prócz fabryk bawełny i wełny posiada Łódź fabryki jedwabiu i półjedwabiu, potężny przemysł metalurgiczny, oraz fabryki innych produktów, w których obrót roczny sięgnął sumy 209 469 000 rubli; zatrudniały one armję robotniczą, liczącą 93 908 głów.

Tak powstał polski Manchester. Powstał z niczego, bo z nędznej, zapadłej w piaskach i borach mieściny, by stać się z czasem największym centrum przemysłu włókienniczego Polski, ba, całego olbrzymiego wówczas imperjum rosyjskiego. Przed wojną przerabiały łódzkie fabryki bawełniane 76 000 ton bawełny na 70 000 ton, czyli blisko pół miljarda metrów przędzy, przemysł wełniany zaś 61 000 ton surowca na 70 miljonów metrów przędzy wełnianej. Łódzkie fabryki włókiennicze — szczególnie bawełny — należały wówczas do największych, najlepiej urządzonych i zorganizowanych tego rodzaju fabryk w Europie, posiadały one nowoczesne urządzenia, angielskie maszyny i były zorganizowane na wzór największych przedsiębiorstw przemysłowych Lancashire'u i Manchesteru.

(Dokończenie nastąpi.)

Zarzućmy stany, a stańmy się obywatelami.

Hej! Ludu Ty polski! Od Ciebie zależy
Ojczyzny dziś naszej i przyszłość i chwała,
Bo ona swą dolę w Twe ręce oddała.
Twa wiara i miłość wszystko zło zwycięży,
I Ty ją podźwigniesz z wiekowej mogiły,
Gdy mocen przystąpisz i świadom swej siły.

Jan Kasprowicz.